

*

Wszystko dzieje się w noc poślubną. Właśnie weszłam tylnymi drzwiami do rodziny, przez wąską szczelinę nazywaną małżeństwem. Ale tego wieczoru nic nie idzie zgodnie z planem. Wieczór jest tak zimny, że tort weselny nie daje się pokroić, w kruszonie wytrąca się lód, bąbelki zamarzają w szampanie, a wypomadowane i zaczesane do tyłu włosy mężczyzn zamieniają się w połyskujące hełmy. Delikatne lilie w bukiecie ślubnym czernieją na mrozie, a kiedy przechodzę przez strojną bramę weselną, cienki welon rwie się niczym pajęczyna. Przyjęcie trwa całą noc, a nawet dłużej z powodu burzy śnieżnej. Nawet wojskowy lodołamacz nie może zapewnić nam powrotu, tak silne wiatry szaleją wokół wyspy. Goście muszą sobie jakoś radzić, pić i tańczyć, by utrzymać ciepło. Robi się późno, alkohol płynie szerokim strumieniem, jedzenie działa usypiająco, kelnerzy mają urwanie głowy z sennymi gośćmi. Jeśli ktoś zaśnie w wychłodzonej sali, może się to źle skończyć. Dom zbudowano z przeznaczeniem na krótkie letnie pobyty i chociaż teraz jest tu pełno ludzi, to i tak jest piekielnie zimno. Przez szpary w drewnianych ścianach wdzierają się podmuchy wiatru, niosząc sporo śniegu.

Staliśmy się zakładnikami burzy śnieżnej i mrozu. Goście marzną tej zimowej nocy, najdłuższej w roku, najciemniejszej, najmroźniejszej. Ponieważ rodzina Iwana niemal do samego końca próbowała nie dopuścić do

ślubu, jestem już tak ogromna, że mam wrażenie, iż zaraz pęknę.

Wszystko zaczęło się od walca weselnego. Spokojnego, a jednak pełnego napięcia. Ivan okazuje się dobrym tancerzem, muszę tylko pozwolić mu się prowadzić, tak jak to robię od momentu naszego poznania. Po raz pierwszy jesteśmy tak blisko siebie, po raz pierwszy trzyma mnie w ramionach. Jego dłoń, rozgrzana alkoholem, na dole moich pleców. Nieskromne spojrzenia rozpraszaają mnie, czuję je na sobie. Ludzie bacznie się nam przypatrują, patrzą, jak się dotykamy, poruszamy, jak na siebie patrzymy. Jakby chcieli ocenić, na ile moje „tak” jest prawdziwe. Obce spojrzenia, obcy ludzie. Nie ma tu nikogo z mojego życia.

Ledwie wybrzmiewają ostatnie takty, kiedy Maurits nagle wpija we mnie swoje szpony. W niestrzeżonej chwili pojawia się nie wiadomo skąd i przywiera do mnie, łapie mnie w ściągniętym gorsecie pasie i mówi, że pora, by pan młody się podzielił.

Ivan nie powinien mnie puścić, ale co ma zrobić, urządzić scenę na parkiecie już na samym początku wesela? Kiedy potem szukam go wzrokiem, wirując w tańcu, nigdzie go nie dostrzegam. Pewnie jest wśród gości zebranych wokół stolika z grogiem i weselnym tortem z masy migdałowej, albo wyszedł na zewnątrz zapalić i odlać się w wyjącej śnieżycy. W każdym razie zostawił mnie na pastwę brata i losu. A los ma na imię Maurits i ciągnie mnie za sobą po parkiecie tak gwałtownie, że mam wrażenie, że druty mojego gorsetu zaraz uwolnią

się ze swoich więzów i utworzą wokół mnie warowny wianek. Wszyscy mnie przed nim ostrzegali i chyba nie tylko z powodu jego nieco diabolicznej urody. Nawet jego żona i jego matka mnie ostrzegały. I Vanna, gestami, których nie można było nie zrozumieć. Staralam się uważać na niego już pierwszego wieczoru, kiedy się poznałiśmy, ale może jednak go nie doceniłam? Teraz jestem łatwym łupem, bo panna młoda nie może nikomu odmówić, musi tańczyć ze wszystkimi mężczyznami obecnymi na weselu, tego nauczyła mnie Irene. Ale Maurits, jej mąż, łamie wszystkie zasady etykiety, nie pozwalając nikomu innemu tańczyć ze mną. Miałam nadzieję, że ktoś uratuje mnie z opresji, ale tak się nie dzieje.

Jeśli to, co później się wydarzyło, było częścią planu Mauritsa, to był to plan diaboliczny. Doskonale wiedział, w jakim jestem stanie. Nawet jeśli tak bardzo zależało mu na tym, żeby wesele brata skończyło się skandalem, powinien jednak był przewidzieć ryzyko. Sprowokowanie przedwczesnego porodu na tym pustkowiu to igranie z życiem. Wydaje się zbyt pijany, żeby z takim wyrachowaniem kalkulować, ale może to też część jego planu? Próbuję zwrócić na siebie uwagę któregoś z pozostałych braci, ale nikt nie przychodzi mi z pomocą. Nawet Irene, chociaż widzę, że domyśla się, co się dzieje. Ivana nigdzie nie widzę, chociaż gwałtowne manewry Mauritsa sprawiają, że cała sala jawi mi się jak zamknięty krąg.

Po raz ostatni próbuję się wyswobodzić i w końcu mi się udaje. Maurits traci równowagę i wpada na muzyków

z kapeli, a ja uciekam z parkietu. Wchodzę pospiesznie do pokoju, mając nadzieję, że nie podąży za mną, bo drzwi nie można zaryglować od środka. Ale jest już za późno. W dole pleców czuję powoli narastający ból. Wkrótce jest już tak silny, że nie mogę go dłużej ignorować, chociaż to jeszcze nie pora... To nie tak miało być.